PRENUMERATA
w Krakowie już z dostawą do domu i na prowincji miesięcznie Kor. 1·50, kwartalnie Kor. 4·50). W Niemczech kwartalnie Kor. 5·50: w innych krajach należących do związku pocztowego kwartalnie Kor. 7·50.
Pojedynczy numer
6 hal
w Krakowie jak i na prowincji.

GAZETA POWSZECHNA

Wychodzi codziennie o godz. 12 w południe z wyjątkiem niedziel i świąt.

OGŁOSZENIA:
od miejsca za jednoszpaltowy wiersz petitowy 20 halerzy za pierwszy raz, za każdy następny po 10 halerzy. Drobne ogłoszenia po 4 hal. od słowa, najmniej jednak 10 słów.
NADESŁANE
po 60 halerzy od wiersza.
ZAŁĄCZNIKI
w miejscu 1 Kor. od setki. na prowincję. 2 Kor.

Redakcja Administracja: ul. Florjańska 32, II. p.
Telefon Nr. 565.

Nr. 193. Kraków, Środa 24 sierpnia 1910. Rok III.

Demokratyczna niewiara.

Jeden z działaczy demokratycznych zapytany, jak się zapatruje na wdrożone przez posła Germana „Zjednoczenie demokratyczne“, odpowiedział, że w zasadzie uznaje potrzebę takiego zjednoczenia, ale obawia się, że posłowi Germanowi stanie na przeszkodzie podejrzenie, iż działa w porozumieniu z namiestnikiem.

Podobnie jak ten działacz, rozumują liczne zastępy demokracji polskiej. Zamiast jąć się z zapałem pracy i naprawdę zjednoczyć demokrację rozproszoną i na łup wszechpolakom wydaną, oni się dręczą takiemi dociekaniami.

Z tego widać, że jeżeli lud miejski nie weźmie sprawy w swoje ręce i po prostu nie zmusi swoich przewódców do zaprzestania szkodliwej zabawy w klubiki, frakcyjki i i ambicyjki osobiste, to przewódcy z własnej woli nic nie zrobią i rozbicie sił demokratycznych miejskich nadal będzie istnieć z niewątpliwą szkodą dla interesów ludności miejskiej.

Poseł German powinien się odwołać na zgromadzeniach publicznych do wyborców miejskich, a skutek będzie z pewnością znakomity. Trzeba ludności miejskiej powiedzieć wyraźnie i bez ogródek, jak rzeczy stoją w demokratycznych klubach poselskich, sejmowym i parlamentarnym, a lud miejski potrafi sprawę załatwić.

Zwlekać z działaniem nie można, aby nie zostawiać wszechpolakom czasu na szerzenie intryg. A oni to umieją, dowiedli nieraz.

Porachunki kongresowe.

Rozdział pierwszy.

Przed Kongresem.

III.

Na polskiej wsi galicyjskiej zakipiało. Zaczęły się wiece, narady komitetowe i przygotowania do wyboru delegatów na wielki zjazd w Tarnowie, który też miał tam miejsce dnia 12 czerwca. Szeregi partyjne zrozumiały doskonale znaczenie i siłę, jaką Kongres w dobie dzisiejszej może mieć dla Stronnictwa i jego zwycięzkiego pochodu w polityce krajowej.

A jednocześnie topnieć poczynały nadzieje „Kurjera Lwowskiego“ i jego przyjaciół z frondy. Kilkuletnie grożenie Kongresem i gawędzenie o „ludzie“ nie mogły wytworzyć dla frondy żadnej siły na wsi. Rzucanie oszczerstw i rozpowszechnianie „Gazety Ludowej“ nie stanowi jeszcze pracy organizacyjnej. Im więcej odbywało się wieców, im silniej odzywała się wieś polska, im potężniejsze stało się zainteresowanie mas włościańskich Kongresem, tem bardziej rozwiewały się nadzieje nieudolnej opozycji, która w Stronnictwie nazwała się po akademicku frondą. Tej opozycji grozić nawet począł zupełny rozkład. Było rzeczą do przewidzenia, że umysły bardziej karne, partyjnie bardziej uczciwe, z chwilą, gdy Kongres się wypowie, prędzej czy później woli większości się poddać muszą. Cóżby więc z frondy zostało? Bańka mydlana westchnień i dumań dwóch redaktorów!

Przerzucono się wtedy do wręcz odwrotnej taktyki. Pan Wysłouch, zawsze za parawanem, przez kilka lat zasłaniał się wolą ludu, którą Kongres ma objawić i dlatego domagał się Kongresu, groził Kongresem i zasłaniał się w powietrzu zarysowaną tarczą jeszcze nieistniejącego Kongresu. Z chwilą zaś, gdy Kongres się zbliżał, gdy dzień zjazdu był już naznaczony, okazała się potrzeba stworzenia innego parawanu, z poza którego można by było strzelać nabojem frazesów.

Więc wmówiono w siebie, że zwołany na dzień 12-go czerwca Kongres, to nie Kongres, a tylko zjazd kandydatów na koncesje szynkarskie. Na Kongresie samym tego nie śmiano powiedzieć. Zgromadzonych w Tarnowie włościan p. Dąbski uraczył nawet strategicznym planem politycznym, a p. Wysłouch kazaniem o czterech cnotach kardynalnych. Gdy atoli Kongres nie poszedł po myśli strategika i moralisty frondy, ów zjazd, który miał być objawieniem woli ludu, którym grożono, którego się domagano, ten sam zjazd staje się odrazu zjazdem kandydatów na szynkarzy.

Zresztą jest to z doświadczenia życiowego znana taktyka »ideologów« w guście p. Wysłoucha. Panowie ci mają zawsze na ustach słowa »przez lud dla ludu«, ale jakie jest znaczenie tych słów, we własnem i rzetelnem a nie udanem rozumieniu pana Wysłoucha. »Przez lud« chce on narzucić rodzaj fabrykatu »ideowego«, który w swej zarozumiałości sporządził »dla ludu«. Ale gdy ten lud ma swoje zdanie — przestaje on być »ludem« w oczach pana Wysłoucha i jemu podobnych zaściankowych »ideowców«. Wszak niedawno poseł Potoczek opowiadał czytelnikom »Przyjaciela Ludu«, jaką przeszkodą był dawniej p. Wysłouch w przeprowadzeniu jednego i niepodzielnego stronnictwa ludowego, jak swe chwilowe kaprysy »ideowe« stawiał po nad interesy organizacyjne mas włościańskich. Inni mogli by opowiedzieć, ile związków zorganizowanych już poszło przez p. Wysłoucha na marne, gdy się okazało, że nie wszystko pójdzie według myśli i zamysłu pana dyktatora z za parawanu. A co się stało z lwowskim »Związkiem ludowym miejskim«, pomimo, że wybitniejsi jego członkowie byli w ogóle ustępliwi i powolni? Dziś, po kilku latach istnienia, życie tego związku jest tylko papierowe, elektryzowane sztucznie, gdy trzeba jakiegoś mandatu lub pretekstu do zawiązywania »stosunków«.

Gdyby choć fabrykaty ideowe p. Wysłoucha nabierały jakiejś postaci rzeczywistej, miały w sobie treść, zdolną stać się ciałem, posiadały wyraz określony. Nawet i tej zalety nie mają. Łatwo jest mówić o tem, że trzeba

> Myślą bić, chorągwie rwać
> Świecić czynu tarczą własną.

Ale należy przedewszystkiem mieć myśl, a nie mgłę. Ale trzeba przedewszystkiem mieć zęby i pazury, by rwać chorągwie cudze a jednocześnie posiadać swoją, własną chorągiew. Trzeba umieć działać i wiedzieć, jak i kiedy działać, jeżeli się chce czynem własnym świecić. I gdzie jest ta myśl, którą można bić, ta chorągiew, którą inne chorągwie zastąpić należy, ten czyn choćby w konturach, choćby w zaczątku, którym świecić można?

Napróżno będziemy szukali tych skarbów w »Kuryerze Lwowskim«. Znajdziemy cytaty oraz artykuły o szkarlatynie i tyfusie!

Te artykuły i cytaty epidemiczne miały służyć wskazaniami politycznemi frondy dla Kongresu PSL! Na to się mieli zjechać włościanie z całego kraju, by zadowolnić się echem z po za mgły nieświadomości, bo cytaty literackie to jedyna »myśl polityczna«, którą nas p. Wysłouch obdarzył.

Na szczęście Kongres miał przed sobą inną myśl, którą bił i pobijał swych przeciwników, miał trofea w postaci mandatów, które na wrogach zdobył, miał serca dawnych przeciwników, które teraz dla siebie i dla wspólnej nad dobrem chłopstwa polskiego pracy pozyskał, miał wreszcie tarczę własnej swej kilkuletniej nowej polityki parlamentarnej, miał zatem czyn, którym świecił i świeci tym, co mają oczy i umieją patrzeć.

Otóż te oczy, które patrzeć umieją, które w każdym razie przejrzeć są zdolne to oczy włościaństwa naszego, z każdym dniem coraz lepiej rozumiejącego potrzebę jednej i jednolitej organizacji chłopstwa polskiego. Wczoraj jeszcze oporni, dziś garną się do szeregów PSL.; dzisiejsi przeciwnicy stronnictwa jutro przymkną do partji, jeśli ona zatrzyma dzisiejszą swą metodę działania. Trzeba zawsze mieć w pamięci to, że stronnictwo polityczne to nie dyktatura dusz ludzkich, to nie jakaś tajemnicza władza, która sercom tak a nie inaczej bić każe, umysłom tak a nie inaczej myśleć rozkazuje. Stronnictwo polityczne jest tylko wielkiem obozowiskiem, do którego przychodzą masy, mające jedną skargę, podobne sobie dążenia do materyalnego zabezpieczenia bytu, do zdobycia warunków swobodnego życia obywatelskiego. Stronnictwo polityczne to nie sekta, nie zgromadzenie inkwizycyjne, a swobodna organizacja ludzi jednego dążenia do ekonomicznej niezawisłości i politycznego samorządu.

Głupia Franka.

Od trzech tygodni dogorywał. Leżał na słomie w samym środku obory, tak jak go dziedzic położyć kazał. Ciepło tu było przynajmniej, nie tak, jak w stajni przy drzwiach, obok kasztanowatej fornalki.

Pani lekarstwa różne już dawała — pan, doktora sprowadzał, ale widać pisanem mu było, że zamrze, że już wiosny nie doczeka, że już pługiem czarnych skib nie odwróci, jak co roku, zielonej trawki nie zobaczy.

Matko Najświętsza!

Co z niego choroba zrobiła!

Dawniej, rosły dąbczak z korzeniem jak marchew z ziemi wyciągał, a teraz nawet ręką nie poruszy. Bywało, gdy w czeladnej kuchni na południe zasiadł, niktby zdrowaśki zmówić nie zdążył, jak on wyprzątnął miskę czubatą i dziewuchom porcje ich pozjadał. Co to wesela było! Niby się gniewały, a żadna z miską nie uciekała przecież.

Albo ta głupia Franka!

Nie spojrzał się nigdy w jej stronę, a onaby gotowa iść w ogień za nim. Dobrego słowa jej nie dał, głupią Franką nazywał, a ona po nocach koszule mu przy ogarku szyła, spancerek reparowała, buty na święta pochwyconem dziedziczce masłem smarowała.

Ot zwyczajnie, głupia Franka!

Ot i teraz; co chwila tu choć wpadnie, słomę poprawi, mleka da się napić, okryje i ucieka.

Dawno już nie była, chyba wieczorem, a teraz noc, nawet koguty nie zapiały, słychać tylko gwizd stróża i śnieg co mu pod butami skrzypi.

Mróz widno tęgi! A tu tak gorąco! Język ma suchy, wargi aż pękają, a ręce jak rozpalone żelaza. Kaszel bolący wstrząsa pierś żółtą, chudą; z pod szarej siermiężnej koszuli widać żebra, ledwie zczerniałą skórą pokryte.

Ano! umierać przyjdzie, trudno! jak kto na śmierć już zachoruje, nie pomoże nikt — nawet największy znachor.

W rozgorzałych oczach światło latarki, wiszącej na słupie, w błyskawice się zmienia. Razi go, prawie boli: choć oczy przymknie, widzi je ciągle, a poruszyć się nie może; głowy o własnej sile nie odwróci.

Żeby choć Franka zajrzała, dała się napić, latarkę zgasiła!

Chwilami zdaje mu się, że nie na słomie leży, a na rogatych łbach bydląt, które go kłują i ranią obolałe członki. Albo nagle czuje, że rogi się rozsunęły i on się zapada gdzieś głęboko... Oddychać nie może.

Otwiera oczy. Ot! spał pewno — na tej samej słomie co leżał, leży. W świetle skąpem latarki dojrzał przy żłobie śpiące krowy. Zaczął liczyć, ile ich w rzędzie stoi.

Jedna, dwie, trzy, czwarta graniasta, piąta... drży mu w oczach, kołysze się jakoś, podnosi, rośnie...

Rety, rety! co jej się stało!...

Odwraca się i patrzy na niego, a oczy ma jak dwie głownie...

Idzie ku niemu powoli, ciężka, olbrzymia. Widzi wyraźnie, jak jej łeb w ogromne rogi uzbrojony, schyla się nad nim i wciąż patrzy krwawemi ślepiami.

Matko Najświętsza, jaka straszna!...

Podnosi powoli nogę i kopyta kładzie mu na piersiach... O Jezu! zadusi go teraz.

Znów leniwie podniósł powieki.

— Wody — szepnął, spalonemi ustami. — Franka, Franka, choć kapkę wody!

Głupią Franką ją przezywał, popychał, dobrego słowa nie dawał. A ona teraz jedna o nim pamięta i nie pomstuje mu nawet.

Głupia, ale dobra dziewucha, ot żeby choć teraz była, żeby mu napić się dała!...

Usłyszał ciche skrzypnięcie drzwi, szelest gniecionej słomy, warknięcie Burka.

— Franka! — jęknął!

Ciemna, rozczochrana głowa pochyliła się nad nim.

— Franka pić, pić choć kropelkę, wody, wody daj!

Silnem uderzeniem pięści obudziła najbliżej śpiącą krowę i w blaszaną kwartę doić zaczęła.

Schyliła się jak cień, bez szmeru, uniosła trochę rozpaloną głowę chłopaka i do ust przytknęła mu świeże, dymiące jeszcze mleko.

Pił chciwie bez odpoczynku.

Ale wnet suchy, ciężki kaszel, wstrząsnął nim znowu, a ból przyczajony, kolący, odezwał się w piersiach i oddech zatamował.

W oczach rozgorączkowanych złość jakaś błysnęła; majaczyć znowu począł.

— Głupia Franka, ot! zwyczajnie głupia! Franka, a kto ci tak gębę podziobał nikiej dziurawe sito? Patrzajta dziewuchy... Franka jeno jednem okiem na was patrzy, a drugiem zerka na drzwi. Pewno swatów wygląda, czekaj! czekaj! Przyjdą do ciebie z wódką, jak rak świśnie... Głupia Franka!

Gorące łzy polały się z oczów dziewczyny!

— Jędrek! — szepnęła.

Chłopak się ocknął, ale znów majaczyć zaczął.

Nieprzytomne oczy szeroko otworzył i patrzył się w ciemną przestrzeń.

— Jagna! Jagna! Poczekaj ino losowanie przejdzie, a dobry los wyciągnę, na zapowiedzie damy!

— O rety! rety — łkała, patrząc się na rozpaloną, gorączką rozczerwienioną twarz chorego.

— Jędrek...

Oprzytomniał na chwilę.

Poznał schyloną dziewczynę i uśmiechnął się do niej.

— Bóg ci zapłać, Franka — szepnął.

Ale wnet twarz bólem się ściągnęła i zakaszlał świszcząco, przeraźliwie.

Fala krwi czarnej, spalonej rzuciła mu się do gardła i sączyła się zwolna przez na wpół uchylone usta.

Franka fartuchem ocierała zakrwawione wargi, a łzy jak rosa spływały aż na bladą twarz chłopca.

Twarz ta z rumianej, nagle białością płótna od żółtej słomy się odcięła, a głowa jak kamień ciężka zawisła na ręku dziewczyny.

Śmierć się zbliżała. Ona czuła jej obecność, czuła jej zimno...

— Jędrek, o rety, rety Jędrek! krzyknęła przerażona tą nieruchomością.

Spis ludności.

Ministerstwo spraw wewnętrznych wydało rozporządzenie w sprawie przedsięwzięcia nowego spisu ludności w krajach austrjackich według stanu jaki będzie z dniem 31 grudnia 1910 r. W nowym kwestjonarjuszu wprowadzono między innemi także rubrykę „zawód". Rubryka ta ma za zadanie rzucić pewne światło na stosunek zawodowy ludności. Podczas spisu ma być uwzględniona również liczba głucho-niemych i ślepych.

Jeżeli obecny kwestjonarjusz porównamy z dawniejszym, zobaczymy, że obecny jest więcej szczegółowym i szczególniejszy nacisk kładzie na język używany w życiu codziennem. Dokładne wypełnienie rubryki da niechybnie wyjaśnienia w kwestji językowej struktury państwa oraz obszarów, jakie poszczególne języki zajmują.

W czasie obrad nad kwestjonarjuszem wyrażono kilkakrotnie życzenie, aby umieścić w nim również rubrykę »język ojczysty«. Umieszczenie takiej rubryki nie dałoby jednak pewnych dat statystycznych, ponieważ w wielu wypadkach nie można absolutnie oznaczyć, który właściwie język jest ojczystym. O tym języku ojczystym decydują często przypadkowe okoliczności, a wtedy nie ma on zupełnie przypisywanego mu znaczenia kryterjum przynależności szczepowej, zaś spis ludności może się tylko liczyć z trwałymi, aktualnymi faktami i objąć je z możliwą dokładnością.

Nie można bowiem uważać za język ojczysty tego, w którym dana osoba zwykła od dziecka wyrażać się i myśleć, bo język ten wśród zmienionych warunków bardzo często jest wyparty przez inny i schodzi na drugi plan.

Sprawą tą zajmowała się także Izba posłów, która uchwaliła rezolucję, wzywającą rząd, aby podczas spisu ludności uwzględniono oprócz języka codziennego także narodowość. Centralna komisja statystyczna postawiła jednak wniosek, aby utrzymać spisywanie języka potocznego.

Postawione życzenie, aby w kwestjonarjuszu uwzględnić także narodowość, nie mogło być brane w rachubę, bo przez to skierowanoby sprawę na drogę nie dającą się skontrolować, która zależy od pochodzenia, mięszania krwi, oraz okoliczności nie wyjaśnionych nawet przez naukę, a przez to nie nadaje się do statystycznego spisania konkretnych faktów.

Równocześnie z wydaniem wspomnianego rozporządzenia, ministerstwo spraw wewnętrznych wydało do krajowych politycznych władz miejscowych inne rozporządzenie zawierające wskazówki w sprawie sposobu przeprowadzenia spisu ludności i nakłada na wszystkie władze, które będą czynne przy spisywaniu ludności, najsurowszy obowiązek, aby wszelkimi środkami starały się o czyste przeprowadzenie spisu ludności.

Otworzył oczy, i spojrzał na nią przytomny, bez gorączki.

— Bóg ci zapłać, Franka... — wyszeptał...

Czarną, spracowaną rękę dziewczyny ustami dotknął.

— Ostaj z Bogiem, Franusiu, a na mnie nie pomstuj, tyś dobra...

Szary różowy świt zajrzał do okienka, pajęczyną i kurzem zasnutego.

Grzbiety krów i rozłożyste rogi coraz wyraźniej z szarego mroku występować zaczęły — światło latarki gasnąc, kłócić się zdawało z jasnością budzącego się ranka.

Na podwórzu ruch się ocknął; ktoś drzwi do obory uchylił, i wpuścił całą falę mroźnego powietrza, które w jednej chwili kłęby pary poruszyło.

Chłopak drgnął i znużone podniósł powieki.

— Dzień już, świta — westknął patrząc się w zaróżowione, zamarznięte okienko.

Oczy senne mgłą mu zachodzić zaczęły, reszta życia gasła w nich powoli.

Zaciężył dziewczynie na ręku, wyprężył się, westchnął raz jeszcze, i zsunął się na słomę sztywniejący — bezwładny.

— Któryś za nas cierpiał rany, Jezu Chryste zmiłuj się nad nami — modliła się Franka, szlochając.

W głębi obory Burek, ze łbem wzniesionym do góry zawył cicho, żałośnie.

Odpowiedział mu ryk krów, i głośne zawodzenie Franki.

KONIEC.

Ślepe strzały.

»Kurjer Lwowski«, a za nim inne pisma doniosły, że w Banku parcelacyjnym lwowskim, będącym w likwidacji, stał się straszny skandal.

Oto likwidator dr Stefan Frenkel, adwokat lwowski, za doprowadzenie do skutku sprzedaży dóbr Przędzel-Jarocin, w powiecie niżańskim położonych, otrzymał od komitetu likwidacyjnego wynagrodzenie osobne w kwocie 10.000 kor. a od nabywcy majętności p. Leonarda Wiśniewskiego przyjął, jak donosi »Słowo polskie« 30.000 kor.

Czekamy na wyjaśnienie komitetu likwidacyjnego. Jeżeli to prawda to p. Frenkel jako likwidator postąpił sobie rzeczywiście skandalicznie. Mówimy — »jeżeli to prawda", bo i bez wyjaśnienia komitetu likwidacyjnego wiemy, że w innych szczegółach doniesienie »Kurjera Lwowskiego« mija się z prawdą. Dobra, o których mowa, kupiła dyrekcja Banku w r. 1908 nie za cenę 900.000 K. jakby wynikało z rachunku »Kurjera Lwowskiego«, lecz za cenę 2 miljonów koron. Jarocin obejmuje około 2700 morgów wyłącznie lasów, w tem 500 morgów zdatnych do wyrębu, a reszta bądź zdewastowana i dziko zalesiająca się, bądź młode kultury. Dyrekcja Banku poszukiwała kupca na Jarocin za cenę miljona koron, a Przędzel o obszarze 1200 morgów ról i łąk miał być rozparcelowany za cenę 1,200.000 kor.. tak że interes ten miał dać Bankowi około 200.000 kor. zysku.

Niestety, nadzieje zawiodły. Na Jarocin kupca nie znaleziono, a w Przędzelu rozparcelowano zaledwie kilka morgów. Majątek spustoszony nie tylko nie dał dochodu na oprocentowanie pożyczonych na kupno dwóch miljonów kor., ale jeszcze pochłaniał znaczne sumy na wkłady. I to kupno właściwie sprowadziło likwidację Banku parcelacyjnego przez zupełne wyczerpanie jego siły kredytowej i zupełny zastój parcelacji.

Gdy przyszło do likwidacji Banku, sprzedaż tego majątku olbrzymiego napełniała największą obawą komitet likwidacyjny. Należało się spieszyć ze sprzedażą, aby się pozbyć olbrzymich długów i wydatków na gospodarkę. Zapraszono do kupna różnych polskich magnatów, ale bez skutku, chociaż podawano cenę już ze stratą. Aż nareszcie zgłosił się p. Leonard Wiśniewski z Drohobycza i nabył Przędzel-Jarocin za dwa miljony kor., a Bank wyszedł z interesu ze stratą 150.000 kor. na oprocentowanie i gospodarkę. Komitet likwidacyjny odetchnął pozbywszy się najkłopotliwszego objektu.

Syndykat banków opiekujący się likwidacją nie tylko potwierdził sprzedaż, ale przyznał dr Frenklowi nagrodę 10.000 kor. Hojność to za daleko idąca wobec deficytowej instytucji. Skandal zaczynałby się właściwie w tem miejscu, gdyby p. Frenkel istotnie wziął i od p. Wiśniewskiego 30.000 kor. Tę sumę powinienby dr Frenkel przekazać do funduszów Banku likwidowanego.

Z powyższego zestawienia wynika, że jeżeli p. Wiśniewski sprzedał drzewostan lasowy w Jarocinie za 700,000 kor., jak donosi „Kurjer Lwowski", to została mu reszta — a wiec ziemia z pod lasu w Jarocinie i Przędzlu — nie za 200.000 kor., jak liczy „Kurjer lwowski", lecz za przeszło 1,100.000 kor. — różnica niebagatelna".

Błąd w rachunku »Kurjera« z pewnością nie jest przypadkowy. Wymyśliła go spółka „kurjerowo-gońcowa", ułyszymy wnet w jakim celu. Chcą się zabawić wspomnieniami ataków na Stapińskiego, ale — ślepe to strzały.

Przy upadku Banku Parcelacyjnego głosili ci panowie, że Jarocin-Przędzel to strasznie zły interes. Teraz twierdzą, że to złoty interes. Ciekawiśmy czy i teraz przypiszą winę Stapińskiemu, choć wiedzą, że on niema nic już zgoła do czynienia z likwidacją.

Przeciw Stapińskiemu owi panowie nie zawahają się użyć żadnej broni. Ale znowu się pokaleczą sami, gdyby ich ślepe strzały miały zatamować postępy likwidacji dotychczas pomyślne.

»Kurjer Lwowski« uzupełnia swoją pierwszą wiadomość, że rzeczywiście za dwa miljony koron kupił p. Wiśniewski oba te dobra — ale „myli się" znowu w odejmowaniu, bo twierdząc, że p. W. sprzedał Jarocin za 700.000 koron dochodzi do wyniku, że reszta t. j. dobra Przędzel zostały mu za... 200.000 koron. Dziwna matematyka i to po raz drugi!

KRONIKA.

Zniżenie frachtów dla bydła rzeźnego. Dziennik rozporządzeń dla kolei państwowych ogłasza przyznanie pięćdziesięcioprocentowej zniżki frachtu dla bydła rzeźnego ze wszystkich stacji austrjackich kolei państwowych najpierw dla transportów na wiedeński centralny targ bydła. Zniżka ta zamierzona jest na przeciąg trzech miesięcy z zastrzeżeniem, że zniżona taryfa może być każdej chwili odwołaną, gdyby te ułatwienia frachtowe nie znalazły wyrazu w cenach mięsa. Także kolej południowa wyraziła gotowość przyznania podobnych ulg na linjach austrjackich i węgierskich. Ministerstwo kolejowe zwróciło się do węgierskiego ministerstwa handlu, aby przez ulgi na kolejach węgierskich poparto akcję rządu austrjackiego. Rozszerzenie ulg taryfowych dla przewozu bydła do innych miejsc konsumcyjnych wewnątrz kraju jest zamierzonem, o ile odnośne gminy przyznają analogiczne ulgi lokalnemu targowi pod względem opłat rzeźniczych.

Kraków 24 sierpnia.

Z teatru miejskiego. W jutrzejszem przedstawieniu „Wesela" Wyspiańskiego zajdzie kilka zmian w obsadzie ról. Rolę Panny młodej odegra p. Borzewska; rolę Gospodyni — p. Czarnecka-Mielnicka; Rachelą będzie p. Młodziejowska, rolę Gospodarza odegra dyrektor Solski.

Roboty koło koryta Rudawy. Zarząd regulacji Wisły i Rudawy przyspiesza obecnie roboty około zasklepienia Rudawy tak, aby równocześnie z ukończeniem robót nad przełożeniem nowego koryta nastąpiło i zasklepienie starego. Część starego koryta, odleglejsza od miasta, zostanie w zupełności zasypaną, zaś część od ujścia Rudawy aż poza rogatkę wolską i park Jordana zostanie zasklepioną. Powierzchnia sklepienia pokryta będzie trawnikiem i krzewami.

Zasklepiona część koryta będzie kanałem dla wszystkich wód ściekowych z przyległej części miasta, które będą uchodzić do kollektora na Grzegórzkach, a w dalszym ciągu płynąć będzie kollektorem i w Dąbiu będzie spływać do Wisły. Aby w razie większych burz i ulew uchylić niebezpieczeństwo nadmiernego i gwałtownego wezbrania kanału ściekowego urządzony będzie w wale Wisły przy ulicy Zwierzynieckiej tak zwany przelew burzowy. Przelew burzowy jest automatycznem zamknięciem ujścia kanału do Wisły zapomocą szczelnie przylegającej klapy żelaznej. W razie ulewy klapa pod naciskiem zwiększonej ilości wody otwiera się i umożliwia bezpośrednio upływ nadmiaru wody do Wisły. Przy robotach pracuje około 200 robotników. Podczas rozkopywania ziemi znaleziono bardzo dzo dużo starej monety, pochodzącej z XIV, XV i XIV wieku. Oprócz tego wykopano srebrny pieniądz z czasów rzymskich i starą strzelbę z dawnych czasów polskich. Wykopaliska te, znajdujące się obecnie u osób prywatnych oddane zostaną do Muzeum narodowego.

Budowa kanału na ul. Wiślnej. Magistrat donosi: Z powodu rekonstrukcji kanału w ulicy Wiślnej, będzie wszelki ruch kołowy na przestrzeni budową zajętej ze względów bezpieczeństwa publicznego wstrzymany. Budowa kanału rozpocznie się od plant i prowadzoną będzie w dwóch partjach, a mianowicie pierwsza partja od plant aż do ul. Gołębiej, zaś druga partja od ul. Gołębiej do Rynku głównego. Cały ruch kołowy pomiędzy mostem Zwierzynieckim a Śródmieściem winien odbywać się ulicą Franciszkańską. Ruch wozów koleji elektrycznej na przestrzeni od plant do Rynku głównego utrzymany będzie w pierwszej fazie budowy kanału na linji od ulicy Gołębiej do Rynku głównego, zaś na linji od plant do ul. Gołębiej będzie wstrzymany i jedynie przez przesiadanie odbywać się może, natomiast w drugiej fazie budowy wstrzymany będzie na całej długości ulicy Wiślnej od plant do Rynku głównego.

Z rozkopanej ulicy Florjańskiej znowu dochodzą nas skargi na dalsze wynalazki magistratu. Dotychczas przerwany był ruch tramwajowy na jednej trzeciej części ulicy tak, że ostatecznie przejść można było od tramwaju do tramwaju jako-tako. Teraz tramwaje dochodzą w ulicy Florjańskiej tylko do pierwszej przecznicy od Rynku, do ulicy św. Tomasza, a spieszący się podróżni muszą z pakunkami przeciskać się przez dwie trzecie ulicy do stojącego dopiero za Bramą Florjańską tramwaju, spiesząc się do pociągu. Należało przecie ze zerwaniem bruku w środkowej części ulicy zaczekać, aż będzie gotów asfalt na kawałku od Bramy do ulicy św. Marka, dokądby tramwaj mógł dojeżdżać. Ale u nas to wszystko robi się bez głowy!

Z Cyrku Edisona. W piątek 26 bm. rozpoczyna się w budynku cyrkowym przy ul. Wielopole szereg przedstawień kinematograficznych. W programie: uroczystości grunwaldzkie w Krakowie z trzech dni. 1) odsłonięcie pomnika Jagiełły. 2) ćwiczenia Sokołów. 3) pochód. Na wzmiankę zasługują też zdjęcia w kolorach naturalnych jak: „Polowanie na żubry w Indjach" i „Plantacje kauczuku na wyspach Malajskich". Reszta programu składa się przeważnie z zdjęć o treści pouczającej i humorystycznej.

Wyścigi konne rozpoczynają się dziś we środę o godz. 2·30 po południu.

Przyaresztowanie książek stróżowskich. Zjawiła się w naszej redakcji deputacja Stowarzyszenia katolickich stróżów z przedstawieniem, że krzywda się dzieje stróżom ze strony niektórych kamieniczników, którzy po rozwiązaniu umowy ze stróżem przytrzymują jego książkę i świadectwa bez najmniejszego powodu. Świeżo zaszedł taki wypadek w tych dniach w kamienicy na rogu ulic Łaziennej i Biskupiej (gdzie na jednego stróża wypada 3 kamienice!). Na 15 wypowiedziała właścicielka stróżowi miejsce, a gdy on zaś zażądał dawniejszych swoich świadectw, by mógł starać się o inną posadę — odmówiono mu bez powodu. Interweniowało Stowarzyszenie, ale oświadczyli mu właściciele, że wydadzą, gdy będą zmuszeni. Stowarzyszenie oddaje tę sprawę pod sąd publiczny i zapytuje policję, na jakich prawach właściciele zatrzymują te dokumenty stróżów, których bez tych papierów nikt przyjąć nie może, a trudno, żeby stróż czekał bez posady parę tygodni, aż wróci córka pana gospodarza z ul. Łaziennej i otworzy swoje biurko ze świadectwami stróża.

Pośpiech pocztowy. Otrzymujemy następujące zażalenie: List nadany do mnie 9 bm. w Nowym Sączu otrzymałem dopiero 18 bm., to znaczy, że aż 9 dni było potrzeba, abym list, dokładnie zaadresowany, otrzymał. Sądzę, że gdyby list ten przewożono aeroplanem, to nawet po kilku katastrofach wcześniej bym go otrzymał, niż to czyni c. k. poczta w Galicji, która listy przewozi — o ile mi się zdaje — pospiesznymi pociągami. Marka za 10 halerzy i 4 halerze chłopakowi za doręczenie (u nas bowiem w „Wielkim Krakowie" płaci się za każdorazowe doręczenie listu 4 halerze) powinny przecież wystarczyć, aby list przyszedł w oznaczonym czasie. *J. P.* z Zakrzówka.

Tragedja rodzinna na wsi. We wsi Czyżynach, położonych o kilka kilometrów od Krakowa rozegrała się onegdaj krwawa tragedja rodzinna, której ofiarą padł 71-letni starzec. W czasie kłótni, wywołanej niesnaskami rodzinnemi, 41-letni włościanin Jan Tymor rzucił się na swego teścia i zabił go, łamiąc mu przy tem 12 żeber. Zabójcę odstawiła żandarmerja do krajowego sądu karnego w Krakowie.

Nieudałe włamanie. Wczoraj nad ranem włamał się do mieszkania p. Adolfa Kleina, przy ul. Sebastjana l. 28 poszukiwany przez policję włamywacz 24-letni Karol Tryciński i skradł zegarek „Omega" oraz srebrną papierośnicę. Uciekając, złodziej potknął się o krzesło, co spowodowało stuk, który p. Kleina zbudził, p. Kl. wyskoczył z łóżka i chwycił złodzieja za rękę; ten jednak wyrwał się i wyskoczył przez okno, co również uczynił i p. Kl., umykającego włamywacza pochwycili przechodnie i oddali w ręce policji. Rzeczy jednak skradzionych przy nim nie znaleziono; po wyskoczeniu z okna oddał on je zaraz wspólnikowi, który uciekł w przeciwną stronę.

Napad szału. Wczoraj o godz. 11 w nocy wracająca z Ameryki z dzieckiem jakaś pani nieznanego dotąd nazwiska, dostała na peronie w Krakowie groźnego napadu szału. Powstał olbrzymi popłoch, publiczność chroniła się w poczekalniach. Policja zawezwała Pogotowie ratunkowe, które szalejącą kobietę odwiozło do szpitala św. Łazarza, dziecko zaś odwieziono do szpitala św. Ludwika.

Zmarli: W Krakowie Franciszek Buczek w 34 roku życia. Pogrzeb dziś z „Collegium Medicum".

W Brzeżanach ks. Michał Soniewicki, emer. katecheta gimnazjalny.

Repertuar teatrów krakowskich

(od 24 bm. do 28 bm.).

		miejski	ludowy
Środa		Kordjan	Nowi spółobyw.
Czwartek		Wesele	Szukajcie dziecka
Piątek		Tamten	Kościuszko
Sobota		Noc listop.	Dla św. ziemi
Niedz.	po poł	—	Kościuszko
	wiecz.	Car Samozwan.	Dla św. ziemi

Z Podgórza.

Do szkoły ceramicznej w Podgórzu wpisy rozpoczynają się z dniem 20 września br. Zadaniem szkoły jest wykształcenie personalu nadzorczego dla fabryk ceramicznych (cegieł, dachówek itp.) Czas trwania nauki 18 miesięcy, nauka jest bezpłatna. Bliższych informacji udziela ustnie lub pisemnie Dyrekcja szkoły w Podgórzu (ulica św. Florjana l. 5).

Awantury wyprawiał wczoraj po południu pijany cygan Wojciech Kwiatkowski, odgrażając się przechodzącej publiczności nożem. Awanturnika aresztowała policja.

Kradzież. W poniedziałek wieczór przybył do zegarmistrza przy ulicy Kalwaryjskiej p. Pempera Jan Gąsiorek, 23 lat liczący z Podgórza, z zegarkiem do naprawy. Gdy p. Pemper oglądał zegarek, Gąsiorek skradł z kasy 2 złote pierścionki. Złodzieja aresztowano.

Oparzenie. Edmund Brablec, kucharz z Podgórza, przy przesuwaniu rondla dotkliwie poparzył sobie prawą rękę. Opatrzyło go pogotowie ratunkowe.

Tajemniczy trup. Wczoraj koło fabryki dachówek w Płaszowie znaleziono zwłoki robotnika. Identyczności osoby nie zdołano na razie stwierdzić. Dzisiaj po południu odbędzie się sekcja zwłok.

Zmarli: Salomea Zemlowa, lat 60, obywatelka m. Podgórza, zmarła przedwczoraj na Zabłociu.

Ze Lwowa.

Manewry korpusu lwowskiego odbędą się w powiecie bobreckim, przemyślańskim, brzeżańskim i rohatyńskim. Ćwiczenia w brygadzie odbędą się w okolicach Błotni, Strutyna i Pukowa, ćwiczenia dywizyjne (od 28 bm. do 5 września) w okolicach Rohatyna, Lipicy Górnej, Bołszowiec i Bursztyna. W czasie od 27 b. m. do 5 września wojska będą rozmieszczone w miejscowościach Sarnki Górne, Dolne i Średnie, Lipica Dolna, Ozierzany, Bursztyn, Kuropatkin, Ludwikówka i Krostowce. Ćwiczenia korpuśne trwać będą od 5 do 10 września na terenie między Rohatynem, Bursztynem, Zawadowem i Podwysokiem. Zakończenie manewrów nastąpi 10 września.

Z kraju.

Egzamina kwalifikacyjne na nauczycieli szkół ludowych pospolitych przed komisją egzaminacyjną w Bochni rozpoczną się 5 października 1910 r. Podania, zaopatrzone w przepisane dokumenta, należy wnosić przez odnośną c. k. Radą szkolną okręgową najpóźniej do dnia 30 września 1910 r.

Popieranie przemysłu krajowego. Jedno z najczynniejszych Towarzystw Pomocy przemysłowej w kraju w Bochni od dłuższego już czasu stara się w tutejszem mieście o powstawanie coraz nowych fabryk. Ostatnio na skutek starania Towarzystwa powstała w Bochni fabryka kilimów Braci Tymiaków, pozostająca pod opieką Sekcji przemysłowej tegoż Stowarzyszenia. Jako bardzo sympatyczny i godny naśladowania objaw należy tu podnieść życzliwość dla przemysłu tutejszej Rady powiatowej i Rady miejskiej miasta Bochni, które udzielają nowemu przedsiębiorstwu subwencji po 200 koron. Oby częściej i wszędzie nasz młody przemysł taką życzliwą opiekę i pomoc znajdywał.

Wypadek na obchodzie grunwaldzkim. W Żabnie podczas obchodu 21 bm. strzelano z moździerzy, Stary kanonier Maciej Anioł był tak nieostrożny, że przy ładowaniu palił papierosa. Proch eksplodował i sześciu ludzi ciężko zraniło, między nimi i tego kanoniera. Mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej dra Przybyszowskiego — zdaje się — trudno będzie utrzymać ich przy życiu.

Napad na karczmę. Do karczmy w Oklesie koło Chrzanowa przybyło onegdaj wieczorem dwóch mężczyzn w ubraniach robotniczych i zażądało napoju i pokarmu. Gdy karczmarz upomniał się o zapłatę, przybysze dobyli rewolwerów i rozpoczęli strzelaninę, kierując strzały do karczmarza i jego żony. Dali sześć strzałów, z których jeden trafił w piersi żonę karczmarza i ciężko ją zranił. Prawdopodobnie zbrodniarze wybrali się do karczmy w celach rabunkowych. Zbyt głośne starcie zaalarmowało wieś i rabusiom przeszkodziło w zamiarze. Zbiegli w sąsiednie lasy. Jak przypuszczają obaj pochodzą z Królestwa Polskiego. Władze chrzanowskie urządziły za nimi pościg.

Fałszywa legitymacja. Ze Stanisławowa donoszą: Córka tutejszego kupca panna F. chciała tanim kosztem przejechać się do Jaremcza i pożyczyła sobie od swej pokojówki (córki robotnika kolejowego) legitymację kolejową. Bardzo elegancki wygląd p. F. i pierścionki z brylantami na palcach zdradziły ją. Konduktor zakwestjonował legitymację, a panna, nie mogąc się wylegitymować, zapłacić musiała dotkliwą karę. Prócz tego odpowiadać będzie przed sądem karnym za oszustwo, gdyż władze kolejowe odstąpiły sprawę prokuratorji. W wielu już wypadkach sądy karne skazały na dłuższy areszt za użycie obcej legitymacji.

Z innych zaborów.

Wybuch bomby w Warszawie. Przedwczoraj o godzinie 10 wieczór nastąpił przy ulicy Nalewki w Warszawie wybuch bomby lontowej, podłożożonej pod drzwi mieszkania właściciela składu zamków do torebek skórzanych Zelka Goldberga. P. Goldberg bawi obecnie za granicą, a rodzina zaś w Warszawie i w chwili wybuchu zgromadzona była przy wieczerzy. Poza strzaskaniem drzwi i szyb wybuch nie spowodował większej szkody. W ludziach nie było żadnej ofiary. Powodem zamachu według jednej wersji miała być zemsta za podwyżkę czynszu. Wedle drugiej zaś bomba została podłożona tylko przez omyłkę, bo właściwie miała być przeznaczona dla p. Tochterleina, właśc. składu skór na II piętrze.

Odmowną odpowiedź na zaproszenie cesarskie w Poznaniu miał dać poseł ks. Jażdżewski, jak donosi „Schlesische Zeitung". Wiadomość ta wyglada na nieprawdopodobną wobec znanej lojalności tego posła.

Nie wolno się modlić! Jak donosi „Żiźń Wołyni" gubernator wołyński zabronił katolikom we wsi Koszczy, w pow. żytomierskim, gromadzenia się na wspólne modlitwy, ponieważ zebrania takie można urządzać w świątyni, której w Koszczy niema.

Ze świata.

Z życia wynalazcy »Hy 606«. Asystent dra Erlicha dr Szachiro Hata, Japończyk, któremu w przeważnej części przypada zasługa około wynalazku antidotum syfilistycznego znajduje się obecnie w podróży do swej ojczyzny Japonji. W czasie rozmowy korespondenta jednego z pism niemieckich oświadczył, że był on w rękach prof. Erlicha niejako narzędziem, które wykonywało jego polecenia i stosowało się do jego wskazówek. W dalszym ciągu dr Hata opowiada o swojej przeszłości i w jaki sposób znalazł się u boku prof. Ehrlicha.

W roku 1907 przybył on do Berlina na międzynarodowy kongres hygieniczny z Tokio gdzie był przełożonym w Instytucie bakteriologicznym i oddawał się studjom nad chorobami zakaźnemi. Po przybyciu do Berlina postanowił powiększyć swoje wiadomości w Niemczech, gdzie już od kilku lat przebywa. Po paru latach pobytu w Berlinie udał się do Frankfurtu i tu — jak powiada — spotkało go szczęście odkrycia środka przeciwko strasznej chorobie niszczącej ludzkość.

Dr Hata twierdzi, że wynalazek będzie skuteczny. Obecnie wraca do swego kraju, gdzie będzie w dalszym ciągu robił doświadczenia z preparatem „Hy — 606".

Niebezpieczeństwo cholery.

Straszne widmo cholery szerzy się w Rosji z niebywałą szybkością i pochłania coraz to nowe ofiary. Uniwersytety nie mogą nastarczyć zapotrzebowaniu studentów medyków. W niektórych wsiach rozgrywają się nieraz sceny wprost wstrząsające. Ciemna ludność porzuca pracę i zamyka się w domach. Zmarłych nie ma kto grzebać, to też trupy leżą całymi dniami po domach. W innych gminach ludność objęta paniką odmawia korzystania z pomocy lekarskiej. Odmowa ta przybiera nieraz gwałtowne formy. W jednej wsi np. spalili chłopi barak choleryczny, w innych zdarzają się wypadki wypędzania, pobicia a nawet i zabójstwa lekarzy i felczerów.

W ostatniej chwili dochodzą z Rosji przerażające wprost wiadomości. W ciągu ubiegłej doby w Petersburgu zachorowało osób 60, zmarło 23, pozostaje chorych 710. Ogółem wziąwszy w ostatnim tygodniu w niektórych miejscowościach zmarło setki ludzi.

Z powodu nadeszłych wiadomości, że w Tomaszowie lubelskiem nad granicą austr. wydarzyły się wypadki cholery azjatyckiej, zarządził namiestnik rewizję sanitarną podróżnych przybywających z Królestwa przez Bełżec w powiecie rawskim.

Spalenie trupa czarodzieja.

W pewnej wsi tatarskiej zaczęły chorować dzieci na dezenterję, która zabierała codzień kilka ofiar. Niebawem we wsi rozeszła się wieść, że „choroba" zjawia się we wsi na drodze wieczorami pod postacią kota, psa lub ptaka.

Przejeżdżał wtedy przez wieś jakiś Tatar, który dowiedziawszy się o co chodzi, powiedział rodakom, że powodem śmierci jest jakiś czarownik żywy, albo martwy, który odżywia się krwią dzieci.

Idąc za poradą podróżnego zebrani z całej gminy Tatarzy udali się na cmentarz, aby odszukać ducha czarownika pożerającego dzieci.

Na niektórych grobach widniały dziury, porobione zapewne przez szczury, tłum przecież aby się przekonać, czy „duch" nie wydostaje się tamtędy, zgrzebywał wierzchnie warstwy ziemi i po przez rogoże, okrywające zwłoki, jeden z „próbantów" zapuszczał kij do wnętrza. Jeżeli koniec kija był suchy, orzekano, iż nieboszczyk jest niewinny.

Podczas tych prób ktoś z tłumu odezwał się, że niedawno umarł we wsi Tatar Mawlukajew, który za życia uchodził za czarownika. Tłum odszukał grób podejrzanego. Zapuszczono laskę do samego dna grobu. Po wyjęciu, okazało się, że laska pokryta jest krwią.

— Mamy czarownika — zawył tłum.

I w mgnieniu oka odgrzebano trupa i wydobyto go na wierzch. Tłum ujrzał całą głowę nieboszczyka we krwi.

Ta okoliczność ostatecznie przekonała Tatarów, że Mawlukajew jest właśnie tym czarownikiem, którego poszukują, a który pożera im dzieci. Zadecydowano uciąć mu głowę. Po odrąbaniu głowy i rąk, zwłoki wrzucone zostały z powrotem do grobu.

Na drugi dzień wieś cała zgromadziła się znowu, gdyż umarło dwoje dzieci Uchwalono zniszczyć zwłoki Mawlukajewa do cna. Znowu zebrano się na cmentarzu i obok grobu ułożono stos, na którym ułożono bezgłowy trup zmarłego Tatarzyna, oblano to wszystko naftą i podpalono, popiół zaś wrzucono z powrotem do grobu.

Mimo spalenia „czarownika" dzieci nie przestały umierać. Zabobonnymi barbarzyńcami zajęły się władze.

Karykaturalna moda.

Jesień u progu. Więc zapobiegliwe modniarki skrzętnie gromadzą modele kapeluszy na sezon nadchodzący. Zdawaćby się mogło, że kapryśna moda nacieszywszy się do syta szpetotą: »babek, chantecler ów, donic. koszyków i t. p. potworności, w które ustrajała litości godne głowy damskie, wymyśli wreszcie coś bardziej harmonijnego, estetycznego lub oryginalnego przynajmniej. Złudzenie! Po koszykach i donicach przyszła kolej na skopce. Naczynia te, naturalnie z odpowiednich cudacznych materji skombinowane służyć mają do tego by twarze naszych pań uczynić niewidzialnemi. Głowa bowiem w taki fason ustrojona, ginie zupełnie pod olbrzymim. ze wszech stron opadającym rondem i ledwie koniec podbródka ukazuje oczom niedyskretnych. Emancypują się więc nasze panie w odwrotnym niż turczynki kierunku. Te ostatnie albowiem zmuszone dotąd chować oblicza swoje pod zasłonami, walczą o to. by je módz ukazywać światu, europejki, modzie posłuszne, ukrywają twarze pod zazdrośne ronda.

Tyranja obecnej mody skrępowała kobiety do absurdu. Czy można ujrzeć coś równie szpetnego, śmiesznego i godnego litości, jak damę współczesną w sukni modnej obecnie, niżej kolan spętanej... Ofiara mody drepcze zabawnie nóżkami w dobrowolnie nałożonych więzach, wzbudzając uśmiechy i drwiny przechodniów. Mimowoli przychodzą na myśl refleksje, coby poczęła w razie nieszczęśliwego wypadku spętana modnisia, widząca przed sobą tylko takie świata koło, jakie pozwala jej ogarniać rondo świeżo wprowadzonego na arenę mody szkopka. Przypuszczać jednak należy, że tylko bardzo puste już głowy przykrywać się będą wstydliwie nowo wymyślonymi fasonami, Krakowianki zaś rozsądniejsze i o estetykę prawdziwą dbałe nie uczynią ze swych głów w tym sezonie kołków dla szkopków, jak w sezonie wiosennym ani jedna nie włożyła głośnego »Chanteclera«. nie chcąc z głowy uczynić wylęgarni dla kurcząt.

Przegląd polityczny

Sejm galicyjski.

Ze sfer dobrze poinformowanych donoszą, że rząd centralny wysłał już pisma do namiestnika i marszałka Galicji, zawiadamiające, że ewentualna sesja sejmowa mogłaby się odbyć w czasie pomiędzy drugą połową września a końcem października i że wyczekuje w tej mierze propozycji zarówno co do potrzeby (?!) zebrania się teraz Sejmu, jako też co do terminu jego zwołania. Z powodu, że na odpowiedź namiestnika i marszałka kraju zapaść może decyzja rządu dopiero po 12 września, przeto nie można się spodziewać, aby Sejm mógł wcześniej się zebrać aniżeli po 20 września.

Aneksja Korei

została już faktem dokonanym. Cesarz koreański w roku przyszłym przeniesie się do Tokio. Rodzinie jego oddawane będą tesame honory, co rodzinie cesarza japońskiego. Zostawiono mu i nadal tesame dochody. Jenerał-gubernatorem zamianowany został Terauczi.

Naprężenie w Portugalji

dochodzi do bardzo ostrych form. Cała Lizbona jak w czasie oblężenia. Wojska stoją pod bronią. Okrętom wojennym polecono, by były gotowe do boju. Powstały świeżo Związek klerykalny postanowił rząd obalić, a ministrów uwięzić.

Telegramy

telefonem od naszych korespondentów.

Nowa faza budowy kanałów.

Wiedeń, 24 sierpnia. (Tel. własny). „Neue Fr. Presse" donosi ze Lwowa z kół Wydziału krajowego, że tam oświadczają, iż projekt rządowy, aby Galicja sama zbudowała kanał, a rząd przyczyni się do tego kwotą 125 miljonów, nie może być poważnie traktowaną. Podobno gal. Bank przemysłowy chce objąć tę budowę i utworzyć specjalne towarzystwo w tym celu z kapitałem akcyjnym 150 miljonów.

Wilhelm a Polacy.

Berlin, 24 sierpnia. (Tel. własny). „Local-Anzeiger" donosi z Poznania, że podróż ces Wilhelma i jego mowy nie zmienią w niczem kierunku rządowego wobec Polaków, ani też zaprowadzą wcale kierunku ugodowego. Ustawa o wywłaszczeniach — jak to już dawniej postanowiono — nie będzie na razie wprowadzona w życie.

Olbrzymi pożar lasu.

Londyn, 23 sierpnia (tel. własny). Z Nowego Yorku donoszą, że pożar lasów Montana przybiera straszne rozmiary. Dotychczas 400 osób zginęło w płomieniach. Pociąg kolejowy, który dostał się na terytorjum objęte pożarem, znikł bez śladu.

Portugalja w przededniu rewolucji.

Paryż, 23 sierpnia (tel. własny). Rząd portugalski znajduje się w krytycznem położeniu. Świeżo powstały tu związek klerykalny postawił sobie za zadanie obalenie rządu, uwięzienie ministrów i zaprowadzenie dyktatury wojskowej. Książę Oporto uciekł ze stolicy i zamknął się w jednej z twierdz. Rząd licząc się z możliwością wybuchu rewolucji, trzyma wojsko ciągle w pogotowiu.

Cała dywizja stoi pod bronią. Garnizony wszystkich okolicznych fortów podwojono. Okręty wojenne otrzymały rozkaz, aby były gotowe do boju.

(Dalsze rozmowy telefoniczne były niemożliwe z powodu nieporządków na »pożyczanej« linji telefonicznej, gdyż stała znowu zerwana!).

Wydawca i redaktor naczelny:
WŁADYSŁAW WĄSOWICZ.
Redaktor odpowiedzialny:
STANISŁAW NIEMIEC.

Pierwsza lekcja śpiewu.

— Śpiewaj! — krzyczy maestro. — Wyższy ton, niższy ton, niższy. Trzymaj diafragma.

Krew mi uderza do głowy. Czuję, że ponsowieję, potem staję się sinym; oczy mi wyłażą nazewnątrz, wreszcie poczynam krztusić sie, jak topielec.

— O-o-o!... Wiedziałem, że ti tak będzie... Tenore-di-grazia. Teraz spobujemi swobodni ton. Wisuń język!

Uczywiscie ulegam mu. Profesor tym samym ręcznikiem okręca mocno mój język i wyciąga go na zewnątrz, aż do zetknięcia się z górnym guzikiem surduta.

— Spiewaj: E-e-e-e-e-e-e...

Spiewam, kaszlę, ksztuszę, dławię się, ale śpiewam, śpiewam.

— Teraz rozszerzymy nieco szczęki. Otwórz gębę...

Otwieram. Maestro chwyta ręką, niby kleszczami moją dolną szczękę i dalejże machać nią z góry na dół, jakby pompował wodę. Spiewaj! Be-be-be-be, be-be-be-be...

Teraz każe mi uklęknąć na podłodze i odzywa się:

Wypróbujmy oddech. Biedna nota. O, ta: fa! Bierz i trzymaj prosto, jak jeden lokomotiwa: u-u-u... u-u-u...

— U-u-u-u...

A gdy to się udało, kładzie mi na piersi jedną wielką książkę, na nią drugą, trzecią, czwartą, piątą, szóstą.

— Bierz: u-u-u-u...

—U-u-u-u-u...

Poczem, czy dacie wiarę, na tę wielką kupę książek znosi kuferki, pudła, poduszki, z otomany i nadomiar złego usadawia się na tem wszystkiem, sam w swej profesorskiej osobie.

Nie mogę wytrzymać i proszę o litość.

Profesor, jak się zdaje, jest ze mnie zadowolony, ponieważ co chwila pociera radośnie ręce.

— Teraz ostatnia próba. Oto wiedeńska krzesla. Wlaź pod krzesla i siedź tam.

— Ależ, panie profesorze! To nie podobna...

— Milcz! Jeżeli ti będziesz mogla śpiewać, siedząc pod krzeselka, ti będziesz mogla śpiewać w każdej innej position.

Wiem, że nie wielu mi uwierzy, ale klnę się na wszystkie bogi greckie i rzymskie, żem postanowił i zdołał wleść pod zwyczajne krzesło wiedeńskie i usiadłem tam, zwinąwszy się niemal w kłąbek, a profesor siadł na krzesle i huknął:

— Śpiewaj!

— Ale co mam śpiewać, maestro?

— Co chcesz... Co tylko chcesz: arję, duet, kwartet... śpiewaj dotąd, aż przestanę palić moja cigareta...

To mówiąc, zapala, moi państwo, olbrzymie cygaro austrjackie, ja zaś zaczynam śpiewać, siedząc w takiej pozycji, w jakiej siedzi pogrzebany kawaler w muzealnym słoiku ze spirytusem. Śpiewam cały pierwszy akt z „Fausta", epitalamę z „Nerona", prolog z „Pajaców", kwartet z »Torreadora«, Gwiazdę wieczorną z „Tannhäusera", a ...ten wciąż... pali... Wreszcie braknie mi głosu. Z gardła rozlega się syczenie, niby z syfona wody sodowej. A ten wciąż pali... Wtedy zniecierpliwiony, odzywam się nieśmiało:

— Nie mogę więcej maestro...

Maestro wstaje, podnosi krzesełko i... daje mi takiego kopsa poniżej fraka, że lecę jak piłka po posadzce, dopóki nie uderzam głową o ścianę. Podnoszę się wreszcie na nogi i zdumiony bełkoczę jedno tylko słowo:

— Profesorze...

— Aha... profesorze! Djabli was pobierz, kiedy profesorowi nie dajecie spokoju. Ja przecie jestem profesor nie waszego głupiego śpiewu, ale profesor gimnastiki, atletiki, boksa, pływania i fechtowania. Moja tilko familja jest taka sama jak tego głupiego waszego profesora. To jest moje nieszczęście, prawdziwe nieszczęście! Przez ta głupia szarlatana, do mnie każda dzień od rana do wieczora przyłażą różne głupie śpiewaki, jak ti, i ja postanowiła choć raz nauczyć taki idjota. Ti może mnie skarżyć do sądu, ti może ze mną pojedynkować na armaty, albo na francuska koksa, na palki, rapiri i dżudżitsu. A teraz — precz za drzwi!

Cóż miałem robić?

Ruszyłem ramionami i wyszedłem.

KONIEC.

Drukarnia Józefa Fischera w Krakowie.